

MARIAN SZYJKOWSKI

## POLACY W KARLOWYCH WARACH

*Pani Marii Wojciechowskiej poświęcam*

O Polakach w Karlowych Warach mówiło się na obchodzie polskiego święta narodowego, urządzonym u Szprudla przez Towarzystwo Czesko-Polskie z udziałem przedstawiciela rządu polskiego, ob. ministra Świątkowskiego.

Polacy wypełnili salę po brzegi, ale była to warstwa, którą po raz pierwszy oglądał stary Karlsbad, choć istnieje już przeszło sześćset lat: polscy robociznicy, przysłani tu na kurację i wypoczynek przez związki zawodowe — nowa, ludowa Polska. Po raz pierwszy w dziejach znalazła się ta klasa społeczna pod Jelenim Skokiem, już swoją obecnością manifestując, jak bardzo zmieniły się czasy.

Nie tak in illo tempore bywało. Nie jeździł tu ani robotnik, którego stara Rzeczpospolita nie znała jako odrębnej warstwy, ani chłopek, glebae adscriptus. Ale jeździli gęsto panowie szlachta, zwłaszcza w swej górnej, arystokratycznej warstwie, a później, już w XIX wieku, w miarę jak się rozszerzała struktura społeczna, i mieszczenie, przedstawiciele wolnych zawodów, adwokaci i lekarze, ze wszystkich stron Polski rozebranej, z jej dalekich kresów, a nawet i poza nimi położonych centrów emigracyjnych.

Tak było na długiej przestrzeni wieków, od Augusta Mocnego poczynając, który zjeżdżał tu hucznie i buńczucznie od początku XVIII wieku w zbrojnym orszaku sasko-polskim i z Piotrem Wielkim się spotykał i pierwsze konszachty na temat rozbioru Polski tu właśnie podejmował.

Spotykał się w Sali Czeskiej (Böhmischer Saal), później przerobionej na hotel Puppa, który po tamtej sali przejął tradycję zabaw i zebrań towarzyskich co najprzedniejszych gości. Nad tą salą umieszczono najstarsze polskie votum perenne, dowód wdzięczności za odzyskane zdrowie, „obowiązek wdzięczności 1752“, jak czytano dokładnie na tablicy w złożonych ramach, wypełnionej herbowymi znakami. Polskim wierszem dziękował kasztelan kaliski, Rafał Gurowski, za powrót do zdrowia, dzięki czemu, wróciwszy do kraju, podjął głośną i niezbyt sympatyczną działalność, zwłaszcza po śmierci Augusta III, w okresie bezkrólewia. Popierał prądy



reakcyjne sprzeciwiając się reformom, uwielbiał Marię Teresę, prowadził rokowania z posłami obcych mocarstw i otrzymał od Prus tytuł hrabiego po pierwszym rozbiórce. Do Karlowych Warów jeździł po zdrowie kilka razy także z bratem, Rochem Gurowskim, szambelanem Augusta III, później marszałkiem wielkim litewskim, który również nie zapisał się zaszczytnie w dziejach upadającej Polski.

Za to wnuk Rocha, Adam Gurowski, głośny w powstaniu listopadowym i na emigracji, zajął stanowisko skrajnie lewicowe, biegunowo przeciwne poglądom swych naddziadów. W walczącej Warszawie zainicjował manifestację uliczną na cześć rosyjskich dekabrystów; ubrany w czerwoną czapkę, wygłosił spod kolumny Zygmunta rewolucyjną mowę. Na emigracji paryskiej należał do najskrajniejszych. Jako jeden z założycieli Towarzystwa Demokratycznego propagował hasła rewolucji społecznej. Do hrabiowskiego tytułu dziada nigdy by się nie przyznał, nazywając szlachtę „upiorem średniowiecznym, obrażającym oko wieku XIX“.

W rewolucyjnym ruchu Europy zasługiwałby ten potomek kasztelana kaliskiego na zaszczytne wyróżnienie, gdyby w końcu i po tych wszystkich akcjach nie skręcił jeszcze bardziej na prawo i nie został rosyjskim urzędnikiem gubernialnym.

W starych annałach Karlsbadu odbił się wyraźnie polski mięsopust, po którym nastąpić miał wielki post — niewola. Pomysłem i sumptem arystokracji polskiej odbywały się w dzisiejszej alei Puppa (dawniej gaj lipowy) festy nie lada. Taka np. zabawa „chińska“, którą zafundowała hrabina Czyńska (?), z domu Czartoryska. Na jej rozkaz zajaśniał gaj tysiącem barwnych lampionów oraz waz płonących ogniem, ustawionych szeregiem u głównego wejścia. Tu i ówdzie wznosiły się „chińskie“ domki, w których liberia pani hrabiny, przebrana za „Chińczyków“ (spopularyzowanych przez „Sierotę chińskiego“ Woltera), roznosiła łakocie i napoje chłodzące.

Ale najważniejszy „gwóźdź“ zabawy i wspaniała niespodzianka mieściła się u wejścia pod postacią wielkiego domu „chińskiego“, na którego galeriach usadzeni muzycy w „turecką“ rznąli muzykę, przy czym znowu podawano najbardziej wyszukane smakołyki. Po tym wstępie następował w sali czeskiej bal „paré“ o niebywałej wspaniałości toalet, klejnotów itd.

Tak to bawiono się u termów Karola w roku Pańskim 1786 między pierwszym a drugim rozbiorem Polski. Panowie palili cygara, gdy kraj staczał się w przepaść.

Nie brakło polskich panów na „chińskiej“ zabawie hrabiny Czyńskiej. Zapisał ich obecność nie lada kto: Herr Geheimer Rath aus



Weimar von Göthe“, który w tymże roku 1786 zjechał po raz pierwszy do cieplic Karola i odtąd nieraz jeszcze je odwiedzał, spotykając u źródeł przedstawicieli najgłośniejszych, historycznych rodów z dalekiej Polski.

I właśnie, kiedy jej imię wykreślano ostatecznie z politycznej mapy Europy w 1795 roku, Göthe spotkał na przechadzkach w alei Puppia jeszcze jednego rodowego wielmożę, ale nadto, i co ważniejsza, „księcia poetów stanisławowskich“, Ignacego Krasickiego („księcia biskupa warmińskiego“).

Zjechał tu X. B. W. (książę biskup warmiński) nie po raz pierwszy. Już przedtem (przed 1783 rokiem) nie tylko „Kastalskie źródło“ czerpał, gdy był młody, ale i czerpał „z tego źródła Karlisbackie wody“, jak stwierdza wierszyk Tomasza Kajetana Węgierskiego.

W ponurym roku 1795 przyjechał powtórnie dnia 28 maja, kiedy już 60 rok życia kończył i właśnie najwyższy arcybiskupi stolec gnieźnieński z ręki króla pruskiego otrzymał.

Zjeżdżając w dolinę Tepli praskim gościńcem własną karocą, książę biskup miał poza sobą, obecnie już arcybiskup, bogaty żywot, wszystkie najprzedniejsze swoje dzieła, plon obfity, rozmaitego zboża pełny, zdrowy pokarm dla pokoleń odradzających się i odrodzonych, wiatyk dla Polski upadłej na pierwszy jej etap w ciemności-niewoli.

Sam przeżył te trzy główne akty narodowej tragedii, z których ostatni właśnie się zamykał. Było po Maciejowicach i po rzezi Pragi. Król Staś, przyjaciel księcia biskupa, oddał los własny i Rzeczypospolitej w ręce „spaniałomyślnej triumfatorki“ i wyjechał na pierwszy etap wygnania do Grodna. I jeszcze tylko Prusy targowały się o swój podpis na akcie trzeciego rozbioru.

Książę biskup zjeżdżał (już arcybiskup) w dolinę Tepli z melancholią w sercu, chociaż nie dopuszczał do silniejszego manifestowania uczuć, wyrobiwszy sobie na humanistach i racjonalistach własną filozofię życia i użycia pod naczelnym hasłem „żyjmy, jak możemy“. Niemniej w alegorycznej bajce o „ptaszkach w klatce“ kazał staremuto czyżkowi płakać na wspomnienie straconej wolności.

Ignacy Krasicki zamyka listę gości polskich, którzy do termów Karola zjeżdżali z wolnej jeszcze Rzeczypospolitej i otwiera nową — pierwszą kartę jej dziejów, które odtąd snuć się będą czerwonym ściegiem powtarzających się zbrojnych zrywów wolnościowych. Na to, że ślad tego ściegu odkrywa się wyraźnie u źródeł Karola, właśnie trzeba zwrócić uwagę.

Polska jako państwo przestała istnieć i to znaczyło się naprzód na listach gości i w protokołach policyjnych, w rubryce, podającej „Vaterland“ przybyłego. Znika samo imię „Polen“. Omija się je,



zapisując przybycie prymasa „aus Gnesen“. Inni przyjeżdżają w tymże roku „aus Südproussen“, czyli z ziem przyznanych Prusom (województwo poznańskie, kaliskie oraz Mazowsze). Kto inny przybywa z Wilna, z Warszawy, z Krakowa, tylko wyjątkowo zapisywano „aus Pohlen“. Ks. Adam Czartórski, generał ziem podolskich, głowa „familii“, który przybył „aus Dresden“, jakby rozpoczynał nowy etap na tym starym szlaku peregrynacji polskich. Na tym etapie droga się rozszerza nie tylko dlatego, że na listach gości z Polski zjawiają się pierwsze nazwiska mieszczańskie a nawet chłopskiego pochodzenia (np. Jacek Przybylski, krakowski profesor filologii i bibliotekarz, syn krawca Bartłomieja i Jadwigi z Mańków) oraz osobna grupa Żydów, którzy ciągną tu piechotą o żebranym chlebie, ale głównie z tej przyczyny, że nie wyłącznie poprawa zdrowia czy rozrywka („zum Vergnügen“) stanowi cel przyjazdu. Wyłaniają się cele inne, bardzo godne uwagi.

Po upadku Rzeczypospolitej zaczynają Karłowe Wary odgrywać nową rolę w polskim życiu, o wiele szerszą od dawniejszej. Stają się naprzód jednoczącym miejscem spotkania dla wszystkich dzielnic, rozdartych kordonami rozbiorów. Zjeżdżają się tu i spotykają ludzie z całej przedrozbiorowej Polski u „brudla“ i na kolumnadzie zbiera się cały polski „mikrokosmos“ w jego dawnym, społecznym złożeniu.

Zbiera się nieraz celowo na tle emigracyjnym. Tak jest po upadku Księstwa Warszawskiego, po latach walk napoleońskich, które na listach gości i w protokołach meldunkowych odbijają się, jak na czułym barometrze. Zwłaszcza zwycięskie lata pokoju po bitwie raszyńskiej znacznie ożywiają stary szlak Polska—Karlsbad. Polacy zjeżdżają hurmem z całego obszaru Polski przed rozbiorami, wśród nich osobistości najbardziej reprezentatywne. Jako „Vaterland“ pojawia się gęsto „Grossfürstenthum Warschau“, tedy promowane na „wielkie księstwo“. Przyjeżdżają cywilni mężowie stanu z prezesem Stanisławem Potockim na czele i wysocy wojskowi (generał Michał Sokolnicki), i ze wszystkich najbardziej nieugięty Tomasz Ostrowski, podskarbi koronny starej Rzeczypospolitej, marszałek sejmu w 1809 roku, prezes senatu w 1817 roku.

A gdy padł w gruzy ten tak krwawo wywalczony pod orłami Napoleona szczytek wolnej Polski — Księstwo Warszawskie — u termów Karola zbierają się jakby na pierwszym etapie emigracyjnym główni sternicy tej rozbitej nawy.

Zjeżdżają się tu niemal równocześnie: Ignacy Sobolewski, minister policji (później w Królestwie Kongresowym minister sprawiedliwości); Tadeusz Matuszewicz, minister skarbu, prawa ręka



Napoleona na terenie polskim; Tadeusz Mostowski, kasztelan raciąski starej Polski, minister spraw wewnętrznych Księstwa Warszawskiego; Stanisław Potocki, senator i prezes rady stanu, mający poza sobą równie bogatą kartę działalności politycznej i kulturalnej, i tych wszystkich wymienionych najbliższy współpracownik, Julian Ursyn Niemcewicz, sekretarz stanu, „człowiek—Polska“, obejmujący działalnością wszystkie najburzliwsze stadia dziejowe Polski upadającej i upadłej aż do listopadowego powstania włącznie.

Przyjazd Niemcewicza do Karlowych Warów posiada nadto jeszcze jeden, nowy aspekt, który stary szlak polskich podróży do cieplic Karola rozbudowuje o nowy, dotąd nieznan tor, tor, który trwa i zwłaszcza dziś przybrał ogromnie na znaczeniu.

Otworzył tę drogę Jan Nepomuk Kossakowski, biskup wileński i pisarz, członek warszawskiego Tow. Przyj. Nauk, na którego posiedzeniu zdał sprawę ze swego „odkrycia“. Odkrył mianowicie, zatrzymawszy się w Pradze na samym progu XIX wieku, wydobywający się z trudem spod niemieckiego głazu naród słowiański, tak nam bliski plemiennie, językowo i historycznie, naród czeski, klęską białogórską wygluzowany z mapy Europy i jakby podcięty w samych korzeniach swego istnienia.

„Odkrycie“ Kossakowskiego i jego zew, żeby pośpieszyć budzącym się z wiekowego letargu pobratymcom z pomocą i nawiązać z nimi jak najściślejszą styczność duchową, nie przebrzmiało bez echa. Już w pierwszych dziesiątkach nowego stulecia ustala się nowy wariant podróży polskich do wód północno-czeskich, z węzłowym punktem w Pradze; wariant, który możemy nazwać zbliżeniowym.

Tym torem jedzie Julian Ursyn Niemcewicz, zatrzymując się w Pradze jakieś trzy tygodnie, wypełnione rozmowami z Józefem Dobrovskim, „patriarchą“ słowiańskiej filologii, kolegą-członkiem warszawskiego Tow. Przyj. Nauk. Niemcewicz poznaje przy tej sposobności i Wacława Hankę, po śmierci Dobrovskiego głównego pośrednika w wymianie dóbr duchowych czesko-polskich.

Niemcewicz przeciąga osobiście tę nić wymiany, którą już przedtem był nawiązał Dobrovsky w korespondencji z Lindem i Bandtkiem. W Pradze zatrzymuje się jako osobistość wybitna, z nazwiska dobrze znana czeskim „budzicielom“. Jego sławę na terenie czeskim ustaliły „Spiewy historyczne“, praca idealnie odpowiadająca czeskim postulatom odrodzeniowym. To też, gdy została ogłoszona w pierwszych latach Królestwa Kongresowego, zrobiła niemięjsze wrażenie w Czechach aniżeli w Polsce, a nawet zrodziła myśl zbiorowego stwo-



rzenia czeskich „Spiewów historycznych“ ściśle na wzór i podobieństwo polskich.

Niemcewicz opuścił Pragę, nie pożegnawszy się z Dobrovskim. Nie zastał go w mieszkaniu, za czym pożegnał go listem pisanym z Karlsbadu. Dziękował mu za to, że „nie odszedł nigdy od niego bez z bogacenia umysłu ważnymi wiadomościami“. Zapewniał, że „pamięć spędzonych z nim chwil tak przyjemnie, tak pożytecznie, zachowa na zawsze“. I wyrażał przekonanie, że „dla wspólnego dobra wielkiego słowiańskiego narodu powinniśmy się często zność“. A kończył prośbą o książkę.

Chodziło mianowicie o Dobrovskiego „Geschichte der böhmischen Sprache und Literatur“, wydaną drukiem w drugim, rozszerzonym wydaniu dopiero w 1818 roku. Ale widocznie już o tej edycji rozmawiali w 1813 roku, a kiedy wreszcie się pojawiła, „patriarcha“ nie zapomniał o danej obietnicy i posłał egzemplarz, dopytawszy się w liście do Bandtkiego o adres Niemcewicza, który zresztą sam się przypomniał, napisawszy list (drugi i ostatni) 28 lipca 1819 roku. Polecał w nim Dobrovskiego opiece brata, jadącego do Karlowych Warów, i podawał bogatą wiązaną wiadomości o świeżych publikacjach polskich (swoich i obcych), prosząc nawzajem o czeskie dane bibliograficzne. Najwidoczniej na nowym torze „zbliżeniowym“ Niemcewicz spełniał w pełni funkcję pośrednika.

W skali jeszcze szerszej podejmuje się tej historycznej pracy Jan Paweł Woronicz, który zjawia się po raz pierwszy u „szprudla“ w lipcu 1815 roku, w charakterze biskupa krakowskiego („Vaterland: Warschau“), tedy znowu w dziejowym momencie powstania nowej Polski: kongresowej.

Chwila była osobiwa, co się odbiło na meldunkowej karcie autora „Sybilli“. Jeszcze nie zatarło się zbyt świeże wspomnienie Księstwa a nie wżyło Królestwa. Więc jako ojczyznę podał Woronicz „Warszawa“, niewątpliwie w znaczeniu pars pro toto, tym bardziej, że sam był świeżo nominowanym biskupem „wolnego“ miasta Krakowa.

Spiewak Sybilli i kaznodzieja na grobach Polski zjeżdżał w dolinę Tepli w 58 roku życia, mając poza sobą w przeżyciu wszystkie chwilowe wzloty i coraz głębsze upadki ojczystego kraju; przed sobą ostatni etap życia, wypełniony odpowiedzialnością za duszpaństwo w starej diecezji krakowskiej, a w końcu i prymasostwem Królestwa Polskiego.

Ze wszystkich poetów stanisławowskich Woronicz posiadał najsilniej wyczułą ideę słowiańską, wyśpiewaną w proroczych tonach Sybilli, Assarmota, Lecha; toteż na tor czesko-polskiej „wzajemności“ wstąpił z zapalem w pełnej świadomości użyteczności tej



drogi. Dobrovskiego poznał osobiście w Karlsbadzie, dokąd przyjechał po raz pierwszy w pamiętnym roku kongresu wiedeńskiego. Spotkali się na kolumnadzie i rozmawiali o — bibliach protestanckich, przy czym punkt widzenia był różny, Dobrovsky bowiem, choć także duchowny, interesował się biblią wyłącznie ze stanowiska filologii a nie, jak Woronicz, teologii.

Dobrovsky poznał Woronicza jako drugiego z kolei po Niemcewiczu „kolegę“, członka warszawskiego Tow. Przyj. Nauk, którego rozprawy o pieśniach narodowych odczytał w Rocznikach Towarzystwa. Poznał stamtąd i jego plan pieśnioksiegu, oparty na „sławiańskiej“ podstawie, i tę zawartą u źródeł leczniczych znajomość podtrzymał na stałe, korzystając z okresowych przejazdów Woronicza do Karlsbadu przez Pragę.

Woronicz przywoził ze sobą książki polskie dla czeskich „budzieli“ i zabierał do Polski wydawnictwa czeskie, czyli wypełniał jeden z ważnych punktów programu „wzajemności“, który do dziś obowiązuje, choć zmieniły się warunki transportu. Wymianę książek popierał osobistym zetknięciem, które tworzy drugi, także nie przestarzały punkt w programie czesko-polskiego zbliżenia. Sam Woronicz zdał sprawę z tej czynności na szlaku Praga—Karlsbad w referacie, wygłoszonym na posiedzeniu warszawskiego Tow. Przyj. Nauk (1 grudnia 1816) oraz w łacińskim liście do Dobrovskiego (1825).

A „sławiańskimi“ poematami autor „Lecha“ trafiał wprost do serc „budzieli“. Właśnie ten jego „Lech“, wzywający do połączenia wszystkich Słowian („Czegoż jednego ojca dzieci się kłóćcie? Złączcie się z sobą, a świat roztrąćcie“), uznany przez Szafarzyka za najwspanialsze arcydzieło poezji polskiej w ogóle, budził entuzjazm w sercach czeskich, oczywiście nie swą artystyczną wartością, ale wszechsłowiańską tendencją. To też w „niebie“ Kollara („Córka Sławy“) Woronicz zajął stanowisko wśród Słowian kierownicze, on jedyny z polskich poetów.

Woronicz przyjechał do Karlowych Warów po raz ostatni w 1829 roku jako arcybiskup-prymas i senator Królestwa Polskiego. W tej godności namaścił cara Mikołaja na króla polskiego dnia 24 maja 1829 roku. Był to jego ostatni czyn historyczny, po którym już oznaczony stygmatem śmierci, raz jeszcze wybrał się, by ratować zdrowie, do życiodajnych cieplic Karola.

Tę jego obecność zapisał lekarz i kronikarz Karlsbadu, Jan de Carro. „Nie wiem, jaka choroba sprowadziła do Karlsbadu tego znakomitego starca w wieku tak podeszłym“ — notował — (miał wtedy Woronicz lat 72). „Ale ilekroć widziałem go u źródeł, wlokącego się z trudem, bliskiego ulegnięcia słabościom, które zdawały się



go przytłaczać, powtarzałem gorąco sam przed sobą: *redde seni validas vires...* Moje życzenia nie zostały wysłuchane“.

„Zbliżeniową“ drogą Niemcewicza, Woronicza i wielu innych przedstawicieli polskiej kultury jedzie przez Pragę do Karlowych Warów (co prawda nie wprost, ale dalekim okręgiem przez Florencję) Kazimierz Brodziński (w 1824 roku). W Pradze zatrzymał się umyślnie dla nawiązania osobistych stosunków z „budzicielami“ i specjalnego przestudiowania Rękopisów, które rzekomo odnalazł i wydał był Wacław Hanka jako wspańiały zabytek średniowiecznej poezji czeskiej.

W Pradze Brodziński przeprowadził żywe dyskusje na temat i Rękopisów, i słowiańskiej pieśni ludowej a z przerwanej we Florencji podróży do Włoch nawrócił do Karlowych Warów, albowiem „ruiny Słowian więcej go obchodziły, niżeli Włochy“ (pisze w liście z Karlowych Warów do Čelakovskiego). Gdzie w Karlsbadzie chciał szukać słowiańskich tych ruin, to pozostanie jego tajemnicą.

W Karlowych Warach Brodziński spędził dwa miesiące. Korespondował stąd z Fr. Čelakovskim, który posłał mu publikacje czeskie. Odpowiadając na list Čelakovskiego zapewniał, że nigdy nie zapomni „najmilszych dni“, spędzonych w Pradze między „zaczynami Czechami“, i wyrażał pragnienie, żeby „mógł tak na ich przyjaźń zasłużyć, jak jej pragnie, jak ją ceni“. Dopytywał się żywo o drugi tom słowiańskich pieśni ludowych, który przygotowywał Čelakovsky, mając go poświęcić „szanownemu i miłemu przyjacielowi Kazimierzowi Brodzińskiemu“. Tak więc picie „szprudla“ wcale nie przerwało nici „wzajemności“, którą nawiązał polski Bojan w przejeździe przez Pragę. Liczne ślady tego kontaktu (dodatnie i ujemne) odbiły się po obu stronach na polu etnograficznym. Ich wyraźny refleks znajdujemy w głośnym „Liście do redaktora Dziennika Warszawskiego o pieśniach ludu“; głośnym bowiem zawartym w nim atakiem Brodzińskiego na romantyzm uczuł się dotknięty Adam Mickiewicz, przebywający wtedy w Moskwie.

Wróciwszy do Warszawy Brodziński ogłosił w tymże „Dzienniku Warszawskim“ wiązaną czesko-słowackich pieśni ludowych, ostatni refleks podróży na odcinku Praga—Karlowe Wary. Dłużej nawiązanych stosunków z czeskimi przyjaciółmi nie pielęgnował, listopadowa bowiem klęska nie oddziaływała korzystnie na tę przyjazną aurę. Dopiero na schyłku żywota, po 11 latach przerwy, podjął jeszcze jedną podróż do cieplic Karola, tym razem wyłącznie dla zdrowia.

W tym roku oglądamy go oczami ówczesnego świadka, Wacława Hanka, którego relację ogłosiły lwowskie „Rozmaitości“. „Jakże się



zmienił powierzchownie od czasu, kiedy go widziałem w r. 1824 i poznałem pełnym życia i zdrowia“ — pisze Hanka. — „Duch jednak nieśmiertelnego twórcy Wiesława jest zawsze wzniosły i wytrwały a o cierpieniach swoich tak swobodnie mówi, jakby się one kogo innego tyczyły“.

Duch był wzniosły i wytrwały, choć śmierć czyhała na ciało i miała je dogonić w Dreźnie, w powrotnej drodze do kraju, odmawiając wiecznego spoczynku w ziemi ojczystej.

Duch pozostał wzniosły i wytrwały, choć warunki polskiego pobytu gości polskich u „szprudla“ zmieniły się gruntownie. Skończyły się dawno czasy „chińskich“ zabaw, zamknęły nadzieje napoleońskie, rozsypał się w gruzy ostatni twór mądrości dyplomatów europejskich, kongresowe Królestwo.

Vae victis rozlega się głośno w powietrzu i nad tym kątem w dolinie Tepli. Polscy goście są pod obserwacją agentów rządu Metternicha i rosyjskich szpiclów, wysyłanych do wód czeskich. Sledzi się każdy ruch polskich „jakobinów“ i wypędza tych, którzy wydają się podejrzeni. Albowiem jest to rok 1835, w którym ma się odbyć zjazd trzech monarchów — w Teplicach, a na tym zjeździe potwierdzenie „świętego przymierza“, groźba pod adresem wszelkich zrywów wolnościowych i zaraz potem głośne ze swej brutalności wystąpienie cara w Warszawie.

W związku z tym zmienia się cały stosunek kupców karlsbadzkich i oberżystów do najlepszej niedawno polskiej klienteli („weil sie nicht nur ein glänzendes Haus führen, sondern bei ihrer Heimreise noch bedeutende Einkäufe machen“). „Vornehme, prominente Gäste“ to obecnie przede wszystkim przedstawiciele carskiej Rosji. Dla nich to wznawia się wspomnienie pobytu Piotra Wielkiego w 1711 roku, umieszczając czarną, marmurową płytę na szczycie Jeleniego Skoku, dokąd miał car konno wjechać; a na płycie napis francuski i na cześć Piotra, i na cześć współczesnego Mikołaja. I sam najjaśniejszy pan, cesarz austriacki wraz z małżonką raczył tu przybyć w dniu 15 września 1835 roku i wiersz odczytał, zanim osobiście porozmawiał w Teplicach z „potężnym Mikołajem“.

Z innego zaś źródła dowiadujemy się, że przed trzema laty podany był do zarządu „Weltbadu“ odmienny projekt: wmurowania gdzie indziej tablicy, a na niej umieszczenia krótkiego, ale wymownego trójwiersza:

*Dors, o ma Pologne, dors en paix  
Dans ce qu'ils appellent ta tombe,  
Moi, je sais que c'est ton berceau!*



Projekt odrzucono i doniesiono o nim władzy praskiej.

Kazimierz Brodziński obserwowany był pilniej od wielu innych gości polskich. Był tak chory, że w sierpniu rozeszła się pogłoska o jego śmierci, co spowodowało natychmiastowe żądanie rosyjskiego poselstwa w Dreźnie, ażeby wszystkie papiery po rzekomo zmarłym zostały zajęte i odesłane do Warszawy.

Duch jednak pozostał mimo wszystko wzniosły i wytrwały. Wszak z tego to ducha urodziła się wspaniała mowa „O narodowości Polaków“ i ostatnie, przedśmiertne pożegnanie: „Posłanie do braci wygnańców“. „Jam ci nie jest natchniony ani ku temu zasłużyłem na łaskę nieba“ — spowiada się brat Kazimierz. — „Ale jam jest chłopiec, wiedzący tylko drogę ode wsi do wsi, i dlatego ją z czystym sumieniem wskazuje, że to, co powie, wie pewno. A jako chłopiec polski wita i żegna, mówiąc: pochwalony Chrystus Pan! — tak mówię i ja: Chrystus Pan z Wami! Albowiem całe życie narodu polskiego wizerunkiem Chrystusa jest, który cierpiał, konał i zmartwychwstał dla pokoju świata... Rozczul się i rozmyśl, każdy Polaku, w ojczyźnie twojej, którą Bóg do spełnienia dzieł wielkich upatrzył, która niepokalana, bolejąca wyda owoc słowa Bożego i w sławie wiekuiestej żyć będzie... Ta wiara nasza i miłość ku ojczyźnie, żadnym męczeństwem nie umorzona, żadnem niepodobieństwem nie przekonana, zwiastuje, że jej byt jest nieodzowny, światu potrzebny, przez Boga obiecany... Przyjdzie czas..., iż narody połączą się w jeden kościół, tak jak w jedno królestwo pokoju... Na łono Boga uniesioną jest nieśmiertelna ojczyzna nasza i zmartwychwstanie, gdy jej u Boga szukać będzie... Wierzaj, że wszystkie cierniowe drogi, którymi przechodziłeś, i to niniejsze konanie twoje, są wróżbą zmartwychwstania i chwały twojej a wiarą, którą żyłeś, odżyłeś... Czuwajcie wszystkie matki, mistrze i kaznodzieje! Wszelka żywa duszo polska pragnij i czuwaj, bo nie wiesz miejsca ani czasu, w którym powołaną być możesz... Czuwaj na każdy powiew wiatru i rozpatruj drogi zbawienia a przede wszystkim bądź duszą, płonąca ku Bogu, który zsyła łaskę i drogi prawdziwe wskazuje“.

Oto jest „ton“ ostatni i przedśmiertny „wylew chrześcijański“ Kazimierza Brodzińskiego, walczącego ze śmiercią w Karlsbadzie. Oto jest także „ton“ Adama Mickiewicza, utwierdzony w nim nauką mistrza Andrzeja Towiańskiego. Mickiewicza i Towiańskiego, te oba nazwiska spotykamy na tej jakby polskiej karcie czeskich Karlowych Warów.

Mickiewicz przyjechał do Karlowych Warów torzem „zbliżeniowym“, to znaczy zatrzymał się przedtem w Pradze „umyślnie“.



ażeby poznać osobiście „tamecznych filologów i rozpatrzeć się w ich dziełach“, umiał bowiem po czesku „nieźle“.

Jest to własne stwierdzenie Mickiewicza w odpowiedzi na pytanie ks. Adama Czartoryskiego, czym popiera swą kandydaturę „slawisty“ na katedrze w Collège de France.

Stwierdzenie jest w całej rozciągłości prawdziwe, nawet nie wyłączając znajomości mowy czeskiej, znajomości co najmniej pasywnej, bez której nie mogłyby powstać znakomite lekcje bohemistyczne w kursie literatur słowiańskich.

Czeską lekturę uprawiał Mickiewicz w Wilnie u końca swych studiów. Czytał rękopisy, przywiezione do Wilna przez pierwszego w Pradze polskiego stypendystę, Michała Bobrowskiego; czytał posłane filomatom słowiańskie pieśni w antologii Čelakovskiego; poznał później z oryginału i „Córkę Sławy“ Kollara i na katedrze paryskiej poświęcił jej wiele mądrej uwagi, i różne publikacje czeskie, którymi zasypuje go Hanka, poznany w Pradze osobiście.

Praski przystanek Mickiewicza, choć trwał tak krótko (niecały tydzień), trzeba ściśle związać z tradycją takichże odwiedzin poprzedników, opartych na pobudkach słowianofilskich. Mickiewicz zatrzymuje się w Pradze dlatego, że z tej tradycji wyrasta, że w tym wypadku oplata się ona bezpośrednio o pracę wileńskich filomatów, i to na ścieśnionym, ale przez to tym plastyczniej występującym odcinku czesko-polskim, że w szczególności Mickiewicza poprzedził w 1822 r. i drogę mu wskazał druh serdeczny i również członek filomackiego „rządu“, Franciszek Malewski, który nawiązał konspiracyjny kontakt z młodymi „budzicielami“, co się stało przedmiotem śledztwa Nowosilcowa.

Mickiewicz zatrzymał się tedy w Pradze tak jak przed nim Niemcewicz, Woronicz, Brodziński i wielu innych. Już przyjętym przez tamtych zwyczajem odwiedził Wacława Hanke, wpisał mu się do pamiętnika, dedykował zbiorowe wydanie swych dzieł, i wziął udział w urządzonym dla niego zebraniu. Tu nawiązał był węzeł przyjaźni mimo licznych różnic w zapatrywaniach na kwestie językowe, folklorystyczne, na istotę poezji a przede wszystkim na istotę panslawizmu. Ten węzeł trwał przez całe życie Mickiewicza, podtrzymany jego czeską korespondencją, czeskimi darami książkowymi i czeskimi odwiedzinami na paryskim bruku.

I jeszcze jako wódz włoskiego legionu Mickiewicz myśli o Czechach, o ich politycznym wyzwoleniu, który tworzy jeden z postulatów „składu zasad“, obowiązujących legion w jego walce o wolność.



Mickiewicz przybył do Karlowych Warów w wynajętym pojeździe „praską drogą“, którą przebyły tysiące polskich dylizansów, od Augusta Mocnego poczynając. Przyjechał 24 lipca 1829 roku i zamieszkał w domu „zum weissen Pfeil“, po drugiej stronie Tepli, w części nowszej, nazwanej „neue Wiese“ (dla odróżnienia od starej, „alte Wiese“), niedaleko dzisiejszego teatru. Z okien widział świecący nurt rzeczki w zielonej otoczy drzew, naprzeciwległe domy na „starej łące“, historyczną „Czeską Salę“ (dziś hotel Puppa), aleję, po której tak lubił się przechadzać Goethe, w oddali nagą, krzyżem żelaznym pobłogosławioną skałę i gęstym lasem pokryte wzgórza.

Na karcie meldunkowej wpisany został jak następuje: „Adam von Mickiewicz, kaiser. russ. Beamter“. „Vaterland“ nie został oznaczony, tylko jako miejsce dotychczasowego pobytu podano „Petersburg“.

Cesarsko-rosyjski urzędnik z Petersburga, Adam von Mickiewicz — tak prezentuje się na liście gości karlsbadzkich geniusz poezji i duchowy wódz polskiego narodu w niewoli.

Mickiewicz spędził normalny, trzytygodniowy okres kuracyjny w Karlowych Warach, pijąc wody już wedle dzisiejszej metody leczniczej, (nie jak dawniej masowo w ilości 50 i więcej kubków dziennie). Na kolumnadzie zetknął się po raz pierwszy w życiu z całym polskim mikrokosmem ze wszystkich dzielnic. Były w tym światku reprezentowane różne warstwy społeczne, nie tylko ziemiaństwo, także duchowni, wojskowi, wyższa biurokracja polska (z Królestwa), rosyjska i austriacka, działacze polityczni, profesory, nawet adwokaci i kupcy. Przyjechał w tymże roku i w tym czasie Jan Paweł Woronicz, przedstawiciel temporis acti, i spotykał u źródeł twórcę nowych czasów. Przyjechało sporo gości z Warszawy i z Królestwa, z „wolnego“ Krakowa (sam prezydent senatu „excellencja hr. Stanisław Wodzicki“, Galicjanie z zaboru austriackiego, związanego państwowo z Karlsbadem, z dalekich kresów wschodnich (z Tulczyna Mieczysław Potocki z żoną przywiózł wspomnienie „Zofiówki“), z drogiego sercu Wilna (Chrapowicki, Platter, nazwiska o filareckim podźwięku, Tyzenhaus, napoleoński oficer, znakomity ornitolog, obok generała Stanisława Kickiego z legionów Dąbrowskiego, który w 1831 r. zastępował naczelnego wodza), dla Mickiewicza, „Litwina“, wiele twarzy obcych, ale i znane przedtem lub potem, odbite na soczewce jego działalności (Łempiccy, Sołtykowie).

Mickiewicz spędził trzy tygodnie kuracji w nastroju melancholii, gnieniony nostalgią, która mu na tym pierwszym etapie wygnań-



czego żywota szczególnie doskwierała. Unikał towarzystwa, uciekał „od udręczeń sławy, która mu wody w Karlsbadzie emetykiem zaprawia“. Wyprosił się od pożegnalnego obiadu — opowiada towarzysz podróży, A. E. Odyniec — co do pewnego stopnia potwierdza sam Mickiewicz w liście do Malewskiego, przypisując zły humor działaniu wód karlsbadzkich, w istocie nie sprzyjających radosnym nastrojom.

Ale po wielu latach, już na kilka miesięcy przed śmiercią, wydała mu się karlsbadzka kuracja we wspomnieniu sympatyczna. „Jakżeby był rad choć na krótko odwiedzić Karlsbad“ — pisał w liście do pani Wodpol. — „Tameczne wody bardzo mi służyły, lubo wówczas byłem zdrow, czułem, że mi przydawały zdrowia“.

Spotkanie Andrzeja Towiańskiego pod Jelenim Skokiem wydaje nam się faktem rewelacyjnym. Posiadaliśmy o tym dotąd wiadomość zbyt ogólnikową, zawartą w liście generała Jana Skrzyneckiego do Mickiewicza, pisanym z Brukseli dnia 3 kwietnia 1842 roku. „Co do Andrzeja“ — pisał generalissimus listopadowego powstania — „nikt go lepiej znać nie może nade mnie, przeżywszy z nim lat kilka po parę miesięcy u wód czeskich, gdy mnie uwiadomił o celu podróży swojej, który mi klęcząc opowiedział, zrazu dosyć zimny, uwierzyłem mu na koniec“. I sam mistrz Andrzej dopełnia tę wiadomość w liście o wiele późniejszym (z Zurychu, 1 listopada 1859 r.), w 17 lat po zerwaniu z generałem, który sprzeniewierzył się „sprawie Bożej“. Czyny mu z tego powodu wyrzuty i przypomina, że ślubował służyć Bogu, „budzony do tego niezwyčajnym dotknięciem Łaski Bożej“; „a o tych cudach miłosierdzia Bożego okolice Pragi... świadczą i świadczyć będą przez wieki“, jak również, dodajmy, sama nazwa wyznania wiary „Biesiada“, przejęta widocznie z czeskiego terminu „beseda“, który nie w Brukseli, ale w okolicach Pragi i u wód czeskich się ustalił.

Tak więc występuje znowu z mroków przeszłości ten polski etap drogi Praga—Karlowe Wary, tylko w innym zgoła, nowym oświeceniu. Zjawia się na tej drodze tajemnicza postać „Polaka z Litwy“. Tu rozpoczyna swą „służbę Bożą“, której cel wynosi się wysoko ponad doczesność, spowity w gęste opary mistyki, jako reakcja przeciw rozpętanej sile materii.

W „okolicach Pragi“ i u północnych wód czeskich, w rozmowach z internowanym w Pradze polskim generałem dokonywa się ten pierwszy „zlew łaski chrześcijańskiej“, który chciał odrodzić całą ludzkość a dynamizmem swego dążenia porwał później i zatopił w swych wirach geniusz Mickiewicza.



Trwał w tym swoim pierwszym wylewie lat kilka, ściśle biorąc dwa lata, 1835 i 36. Zaczyna się w Pradze w lipcu 1835 roku, stąd podąża za Skrzyneckim do Teplic i Karlowych Warów, dokąd przybył „Herr Andreas Towiański, Gutsbesitzer aus Wilna“, z końcem lipca, w sześć dni po Brodzińskim.

Ale niedługo tu posiedział. Pierwszego sierpnia wyjechał do Teplic na cały miesiąc, skąd wrócił do Karlowych Warów na dni 16, po czym odjechał znowu do Norymbergi. 3 listopada spotykamy go znowu w opustoszałym Karlsbadzie, gdzie się zatrzymuje przeszło miesiąc (do 5 grudnia).

Trudno powiedzieć, co oznacza ta ruchliwość mistrza Andrzeja w pierwszym etapie jego podróży za granicę — to przez pół roku krążenie na drodze: Drezno—Praga—Karlsbad—Teplice—Karlsbad—Norymberg—Karlsbad—Teplice. Niektóre odcinki tego kołowania pozostają niewątpliwie w związku z pełnieniem „usługi chrześcijańskiej“ u brata Skrzyneckiego, który spędził w Karlowych Warach kilka sezonów zrazu pod fikcyjnym, później pod własnym nazwiskiem. Na czas zjazdu teplickiego został 30 września usunięty z Pragi do Linzu, gdzie przebywał do 13 października. Potem ślad jego ginie. Jest b. prawdopodobne, że późną jesień spędził (nie meldowany) w Karlowych Warach, na rozmowach z mistrzem Andrzejem, którego wycieczki do Teplic w dobie przygotowań do świetnego zjazdu zaborców muszą mieć równie propagandam fidei na oku, chociaż bliżej nie umiemy sprecyzować tej akcji.

Ten zatarty potem działaniem czasu pierwszy etap „służby Bożej“ mistrza Andrzeja, dokonany na ziemi czeskiej w trójkącie Praga—Karlsbad—Teplice, był jednak znany jego najbliższemu. Czyż nie odbił się również echem w „Królu Duchu“ Słowackiego, kiedy w rap-sodzie o Pysze poeta, płynący już własną falą mistycyzmu, oskarża mistrza o kontakt z Braćmi Morawskimi i prowadzi Pychę do pustelników, którzy służą Świętopełkowi, królowi Czech i Moraw?

I jeszcze jedna gwiazda polska pierwszej wielkości, największa cbok Mickiewiczowskiej, zajaśniała na widnokręgu wód karlowarskich w kąpielowym sezonie 1835 roku: Fryderyk Chopin.

Przybył tu nie utartą jeszcze drogą z paryskiej emigracji 16 sierpnia, w dzień po odjeździe Brodzińskiego, i zamieszkał w domu przy ulicy Vrzidelnej (Szprudla) o pięknej nazwie „Goldene Rose“ (dziś „Havanna“). Na karcie meldunkowej wpisany został jako „Professor Friedrich Chopin“, a w miejsce podania nazwy ojczystego kraju wpisano jedynie, skąd przyjechał („Paris in Frankreich“). Zau-



ważył jego obecność Jan de Carro i zanotował w almanachu: „Mr. Frédéric Chopin de Paris, professeur de musique et compositeur du premier rang“, tedy i w tej zapisce zatarła się narodowość twórcy polonezów.

Chopin przyjechał dla celów ściśle prywatnych, ale na „zbliżeniowym“ szlaku był również, a mianowicie w sierpniu 1829 roku, gdy wracając z pierwszej swej podróży za granicę, z Wiednia do kraju, zatrzymał się w Pradze z listem polecającym do Wacława Hanki i przyjętą już modłą wpisał się do albumu praskiego bibliotekarza, komponując dla niego mazurka. Może przypomniał sobie wtedy swoje poprzednie relacje czeskie: pocziwego, wiecznie zatabaczonego metra fortepianu, Wojciecha Żywnego, i koncert, który dał w Dusznikach na cele osieroconej tragicznie czeskiej dziewczyny, Libuszy, usługującej gościom przy piciu wód. I antycypował późniejsze w życiu spotkania, zwłaszcza szczególnie serdeczny stosunek w Wiedniu ze sławnym skrzypkiem czeskim, Józefem Slavikiem.

Ale z Paryża zjechał tym razem wyłącznie dla spotkania się z rodzicami — i razem z nimi w tymże domu „Pod złotą różą“ zamieszkał. Była to największa radość w tułaczym życiu Ariela fortepianu, to trzytygodniowe współżycie u term Karola z najdroższymi osobami po pięcioletniej rozłące. List, który stąd Chopin napisał do siostr w Warszawie, bucha okrzykami tej radości: „Nie do opisaniasz nasza radość! Sciskamy się a ściskamy — i cóż więcej można? szkoda że nie wszyscy razem... Jakże Pan Bóg łaskaw na nas! Co piszę, to bez ładu; lepiej nic nie myśleć: używać szczęścia, jakiego się dożyło. To jedno, co mam dzisiaj. Ciż sami rodzice, zawsze ciż sami, tylko się mi troszkę podstarzeli. Chodzimy, prowadzimy panią Matulę pod rękę, rozmawiamy o was... opowiadamy sobie, ile razy jedno o drugim myślało. Pijemy, jemy razem, każolujemy się, hukamy na siebie. Jestem au comble de mon bonheur. Też same zwyczaje, też same ruchy, w których urosłem, taż sama ręka, której ja tak dawno nie całowałem. No, moje dzieci, ściskam was i darujcie mi, że nie podobna mi zebrać myśli i o czym innym pisać, jak o tym, żeśmy szczęśliwi w ten moment; żem miał tylko nadzieje zawsze a dziś realizację tego szczęścia i szczęścia, i szczęścia“.

Nigdy nie napisał Chopin listu równie radosnego. Boć spotkanie w Karlsbadzie to jakby świeży powiew od Wisły, który przynieśli ze sobą nade wszystko ukochani rodzice. To cudowna trzytygodniowa fermata, która przerywa pożerającą duszę i ciało geniusza tęsknotę za krajem, nie milknącą i w dniach największych triumfów artystycznych. Taż sama ręka rodziców, której tak dawno nie całował.



Taż sama ręka, pod której opieką dorósł. Ciepły oddech ziemi ojczy-  
stej, bijący od tych najbardziej kochanych. Dzieciństwa baśń nie-  
wymowna, na nowo przeżyta we wspomnieniu. Szczęście i szczę-  
ście, i szczęście, wypowiadające się mową ojczystą w uścisku naj-  
czystszy.

Pod tym Anteuszowym dotknięciem, które się dokonało u wód  
karlowarskich, otworzyło się z powrotem, zamknięte od czterech lat  
źródło natchnienia. Polały się w muzyce Chopinowskiej łązy czyste,  
rzęsiste, zwłaszcza od chwili, kiedy w powrotnej drodze z Karls-  
badu, w Dreźnie, tak ważnym punkcie polskich peregrynacji, zapło-  
nęła nowa miłość do czarnobrewej panienki, Marii Wodzińskiej;  
której zawdzięczamy i najpiękniejszą naszą elegię erotyczną („W  
Szwajcarii“). Powstał jej poświęcony nowy walc i piosenka na  
pożegnanie („Pierścień“) i oddany dźwiękiem jej portret w etiudzie  
F-mol, i marzenia o miłosnym szczęściu, wyśpiewane w nokturnach  
Cis-mol i Des-dur, i koniec marzenia w nokturnie H-dur. Obudzona  
z uspienia animą symfonia Chopina, pobudzona spotka-  
niem rodziców u Szprudla, wyśpiewała te nieśmiertelne dźwięki,  
które trwać będą aż do skończenia świata.

Dawna, niemiecka gmina Karlsbadu utrwaliła materialną pamiątką  
karlsbadzki pobyt dwóch polskich geniuszów: biustem Mickiewicza  
obok alei Puppa i tablicą pamiątkową na domu Havanna. Z biustu  
pozostał tylko cokół, popiersie zabrali Niemcy. Tablica, choć głosi  
wyłącznie w języku polskim, że tu mieszkał Chopin, dochowała się.

Popiersie ma być zrobione na nowo. Byłoby bardzo wskazane,  
żeby stało się tak jeszcze w tym jubileuszowym roku Mickiewicza,  
któremu duchowe życie Czech tyle zawdzięcza.

W przyszłym roku mija lat sto od śmierci Chopina. Tę rocznicę  
będzie obchodzić cały cywilizowany świat, a w tym chórze nie może  
zabraknąć czeskiego głosu. Wszak i czeska muzyka wiele zawdzięcza  
Chopinowi nie tylko w swej doskonałej sztuce odtwórczej, ale i w  
swym twórczym rozwoju. Wystarczy przypomnieć, jak silnie fakt  
ten podkreślał Bedřich Smetana.

O rocznicy chopinowskiej winny pamiętać i Karlowe Wary, i Ma-  
riańskie Łaźnie, gdzie w następnym roku miłość do Marii Wodziń-  
skiej, wypowiedziana w dźwiękach, dosięgła szczytu.

W Karlowych Warach trzeba by odnowić tablicę, albo, co lepiej,  
zastąpić ją nową, okazalszą. Wyrosną z tej okazji dwie piękne uro-  
czystości „zblizeniowe“, połączy się hołd czeski z polskim. Pobło-



gosławią mu dwa największe, najbardziej wszechludzkie duchy, jakie wyszły z łona Słowiańszczyzny: duch Adama Mickiewicza i Fryderyka Chopina.

I przypomni się tradycja, która, chciałbym, żeby ożyła na trwałe. Tradycja polskich podróży do Karlowych Warów, trwająca trzecie stulecie, i jej wariant, ustalony od początku XIX wieku: szlak „zblizeniowy“, na którym i Adam Mickiewicz przybył do starego „brudla“. Sprawa dziś nader żywa i we wszystkich swoich możliwościach rozpięta w tak szerokiej skali jak nigdy.

Droga pozostała ta sama, choć niezmiernie się rozszerzyła, obejmując dwa wolne organizmy państwowe, niemal styczne obecnie swą strukturą społeczną i spojone harmonijną obecnie ideą słowiańską. W istocie jednak program kulturowej wymiany duchowych wartości, sformułowany przez Kossakowskiego i Kollara, obowiązuje dalej, a tylko możliwości jego realizowania stały się nieskończenie bardziej konkretne.

Jeździmy dalej przez Pragę do wód północno-czeskich, przede wszystkim do Karlowych Warów. Jeździmy teraz o wiele wygodniej i szybciej parowozem, który za wynalazek czarta uważali nasi pradziadowie; albo tym samym gościńcem „praskim“, ale zamienionym na autostradę, na której dawne „berlinki“, ekstrapocztty i dyliżanse zastąpił benzynowy motor, o którym nawet nie śniło się naszym dziadom.

Lecz są to zmiany drugorzędne, dotyczące techniki podróży. Ważniejsze są różnice w społecznym złożeniu gości z Polski. Do naprawdę czeskich Karlowych Warów, w których zaginął doszczętnie ślad niemieckiego Karlsbadu, zjeżdżają polscy robotnicy także znad Odry i Nysy. To są już olbrzymie zmiany geograficzno-polityczno-społeczne. Przyjeżdżają na wymianę z czeskimi robotnikami, których posyła się nad polski Bałtyk. Czasy cofnęły się gwałtownie geopolitycznie do dawnych stanów posiadania, posunęły niemniej rewolucyjnie naprzód w kierunku socjalnej przebudowy.

Myślę jednak, że wspomnienie historyczne nie powinno być przy tym zatarte a tradycja peregrynacji polskich do Karlowych Warów pogrzebana.

Myślę, że *dignum et iustum est*, żeby Polak, przyjeżdżający tu z ojczyzny, bez względu na warstwę społeczną, do której należy, wspomniał sobie, że po tych wszystkich drogach i ścieżkach, po tej



kolumnadzie i obok tych źródeł przeszło tysiące jego przodków, że skarżyli się na takie same fizyczne przypadłości i te same pili wody dla ich usunięcia, że przechodzili podobne smutki i duchowe rozterki, że walczyli za Polskę, to unoszeni nadzieją, to miotani rozpaczą; że z braterskim narodem czeskim, tak jak oni cierpiącym w niewoli, oni pierwsi nawiązywali węzły przyjacielskiej współpracy. I że my, prawnuki tamtych, prowadzimy dalej niejedną akcję, którą rozpoczęli najlepsi z praojców — kuracjusze Karlsbadu.

Karlowe Wary mają pełne prawo, żeby je wciągnąć na listę tych punktów w Europie, w których myśl polska utrwaliła się wyraźnym, historycznym śladem.